



04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

KIERUNKI

00-551 Warszawa, ul. Mokotowska Nr 40

Nr 1 0 z dn.

6 -03- 88

665

**Los
Turbinów,
los
Bułhakowa**

OS Turbinów, Ios Bułhakowa i jego twórczości, nawalnica historii, rewolucji, przemiany, przebudowy, obrachunki, nowe oceny, nowe wartości... Czas Bułhakowa, czas, kiedy pisał, kiedy przemagał się z naporem potępień, czas Stalina — to minęło, to już historia. Bułhakow zwyciężył. Wydawany, czytany, grany — żyje w swoim dziele, bierze odwet za lata przesładowań. Nie jedyny. Jeden z długiej listy napiętnowanych z wyroku ideologicznej inkwizycji.

Istotnie, trzeba przyznać, że losy Bułhakowa i jego twórczości są intrygujące. Wciąż zaciekawia osoba autora „Mistrza i Małgorzaty” — lekarza, powieściopisarza, dramaturga, reżysera, aktora, człowieka niezwykle utalentowanego, wewnętrznie skłóconego, wizjonera, wyprzedzającego swymi psychologicznymi i pisarskimi wejrzzeniami w głębie ludzkich dramatów epokę egzystencjalnej konfrontacji z absurdalnością życia. Pewnie też i dlatego były kłopoty z jego „Ucieczką”, z jego „Dniami Turbinów” (sceniczna przeobrażka powieści „Biała gwardia”). Bo jakże to, trwa wielka rewolucja, młoda władza radziecka walczy o ustanowienie i utwierdzenie nowego ładu politycznego i cywilizacyjnego, a na scenie nie ma prawie nic z triumfującego patosu wielkich słów i czynów, nic z heroizmu marszowego stawania się historii; nie widać przemarszu zwycięskiej rewolucji bolszewickiej, nie ma nieugiętych bohaterów, zdobywczego ludu robotniczego, nie ma jedynie słusznych haseł ideologicznych. Są natomiast zagubione pobocza, chore odpryski ginącego starego świata, przerażonego naporem nowej siły, przed którą trzeba się kryć w zaciszu domowe lub uciekać. Są inteligenci, oficerowie, artyści, ludzie ogarnięci niepokojem, złym przeczuciem, nostalgią, pijanstwem, pragnieniem bezpieczeństwa, serdecznością, ciepła i miłości; są ludzie pełni wrażliwości i przenikliwości, miotani przez przyspieszony rytm wydarzeń, dusze okaleczone, jeszcze nie całkiem świadome, że skazane na klęskę.

Wydarzenia rewolucyjnych przemian wstrząsnęły świadomością pisarza, dalekiego i obcego swoją duchową sylwetką wszelkiej politycznej grze czy walce, związanego głęboko z umierającą rzeczywistością dotychczasowego obyczaju i kultury. Pisał potem, że z kilkunastokrotnej zmiany władzy w jego rodzinnym Kijowie — sam przeżył dziesięć. Pozostała w nim obsesja zraty i klęski, dreszcz zapadania się w nicłość starego świata, skazanego na zagładę, a przecież obdarzonego wartościami i swoistym dekadentckim urokiem. Pozostała obsesja ucieczki przed groźną potęgą nowego ładu.

„Dni Turbinów”, w dużym stopniu autobiograficzna opowieść, są dramatem realistyczno-symbolicznym, odzwierciedlającym, poprzez zderzenia domowego życia z dookólną zawieruchą, prawdę i klimat tamtych lat, także prawdę o ludzkiej kondycji i nieuchronności przemijania, o względności kryteriów wobec nurtu wydarzeń. Kiedy pod koniec akcji scenicznej z ulicy dobiegają dźwięki „Międzynarodówki”, jeden ze smutnych bohaterów, Mikołaj, mówi: *Proszę państwa, dzisiejszy wieczór to wielki prolog do nowej historycznej sztuki. Inny replikuje: Dla jednych prolog, dla drugich epilog.*

Osobą i pisarstwem Bułhakowa zajmował się sam Stalin, on wydawał wyroki. O „Ucieczce” orzekł, że jest ona zjawiskiem antyradzieckim. To wystarczyło. Z „Dniami Turbinów” również były perypetie polityczne. Prapremiera (1928 r.) wywołała fale protestów ideologicznych nadgorliwców. Przedstawienie zostało zdjęte, ale później wznowione decyzją Stalina, który je obejrzał podobno piętnaście razy i wydał opinię: *Co się tyczy tej sztuki, to nie jest ona aż taka zła, bowiem więcej przynosi pożytku niż przyczynia szkód. Nie zapominajcie, że podstawowym wrażeniem, jakie pozostaje u widza, jest wrażenie dla bolszewików pozytywne: jeśli nawet tacy ludzie jak Turbinowie zmuszeni są złożyć broń i podporządkować się woli ludu, uznając swoją sprawę za ostatecznie przegraną — to znaczy, że bolszewików nie można pokonać, że z tymi bolszewikami nie się nie da zrobić.* „Dni Turbinów” to demonstracja drugoczącej wszystko mocy bolszewików.

Lepsza aproba ta płynąca z cynicznej interpretacji, niż potępiający zakaz.

Pojawienie się tego świetnego dramatu na scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie trzeba powitać z uznaniem i satysfakcją. Wybierając się na premierę można było sobie obiecywać bardzo wiele, zwłaszcza po posmakowaniu „Ucieczki” tegoż autora przed dwoma laty, w Teatrze Ludowym. Dyrektor reprezentacyjnej sceny krakowskiej Jan P. Gawlik nie zwykł zadowalać się byle jakim repertuarem i byle jakimi inscenizacjami. Posiada ambitny program, aby tej scenie przywrócić należną rangę i blask. Wydaje się, że na razie trudno o wielkie sukcesy — repertuarowi nie zawsze potrafią sprostać reżyserzy i aktorzy. Sięga bowiem Gawlik po reżyserów nie tak renomowanych, jak na przykład Stary Teatr. Stąd zdarzają się przedstawienia jakby niedokształtowane, bez pełnego wyrazu, z zagubionym oświeceniem prawdy. Wtedy największy żal: mogło być porywajaco, a czegoś niewielkiego zabrakło. Również i teraz.

Właściwie wszystko zaczyna się dobrze, wygląda obiecująco. Na scenę wychodzą lubiani, utalentowani aktorzy i zadamawiają się w przytulnie, ciepło wystrojonym mieszkaniu Turbinów. Jacek Strama (Aleksy), zdecydowany, monolityczny, ostry, pryncypialny, o nośnym głosie i bezbłędnym geście; Jacek Milczanowski (Mikołaj), młodzieńczy, rozogniony, potem połamany, aktor noszący już znamiona przyszłej świetności artystycznej; Jolanta Łagodzińska (Helena), dysponująca wdziękiem, głosem, wrażliwością, choć nieco jeszcze za słabą ekspresją i niezbyt urozmaiconymi środkami wyrazu; Janusz Krawczyk (Talberg), artysta doświadczony i wyrazisty w scenicznym byciu, mający na koncie dobre role, między innymi właśnie w „Ucieczce” Bułhakowa, tu jakiś drętwy i nijaki; Krzysztof Jędrzysek (Mysza Jewski), aktor jeszcze młody, a już gożden monografią, obdarzony bogactwem artystycznych możliwości, charakterystyczny w głosie i geście, niepotrzebnie tu z takim szerokim rozmachem szarżuje w głupkowatej błazenadzie i popisuje wacławie różnymi gagami; Zbigniew Ruciński (Szerwiński), potwierdza swoje walory sceniczne, tu dobry jako elastyczny bawidamek i mitoman, sympatyczny i wesołkowaty; Tadeusz Zięba (Larus), coraz dojrzalszy w swych kolejnych rolach, chyba nie w pełni wykorzystywany, w tej sztuce podoba się jako nie pozabawiony wdziękiem duży dzieciak, delikatny niedorajda zaplątany w kijowskie wstrząsy; Andrzej Balcerzak (Von Schratt), aktor wybitny i niezawodny, precyzyjny w każdym ruchu i słowie, i znowu taki tu jest, po raz któryś to już raz?; Janusz Łagodziński (Lokaj), zapisujący się coraz dojrzej w scenicznym działaniu, tym razem w epizodycznej roli pokazuje swoje duże możliwości.

Listę tę dopełniają tacy aktorzy, jak Tomasz Międzik, Marian Dziedziel, Hilary Kurpanik, Jerzy Sagan, Juliusz Zawirski, Ireneusz Pastuszek, Bogdan Słomiński, Stanisław Jędrzejewski.

I co? Niedośyt. Niedopełnienie. Reżyser miał wysokiego lotu literaturę dramatyczną i dobry zespół aktorski i nie potrafił tym materiałem wzniecić magii teatralnej, nie potrafił wywołać ducha czasu rewolucji, specyficznej aury kijowskiego domu, obłożonego zgęszczoną historią, nasyconego klimatem zadumy, nostalgii i katastrofy. Ci ludzie na scenie są zaledwie do nas podobni. Zaledwie jednoznaczni i po naszymu zafrasowani, bez oddechu tajemniczych niedopowiedzeń, zmlczeń, wewnętrznych zacządek. Może by to wszystko napiętno na scenę, gdyby spektakl w swym klimacie cofnął się nieco w przeszłość, gdzieś w stronę Czechowa?

KAZIMIERZ KANIA

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie: „Dni Turbinów” Michała Bułhakowa. Przekład: Janina Karczmarewicz-Fedorowska, Halina Zakrzewska. Reżyseria: Bogdan Michalik, scenografia: Ewa Łaniecka, muzyka: Bolesław Rawski.